



Harlequin®

Romans  
Historyczny®



LAURIE  
KINGERY

Dziedziczka

Laurie Kingery

Dziedziczka

Tłumaczyła  
Bożena Kucharuk

Tytuł oryginału: Hill Country Christmas

Pierwsze wydanie: Steeple Hill Books, 2008

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Grażyna Henel

© 2010 by Laurie A. Kingery

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8434-7

ROMANS HISTORYCZNY – 339

## Rozdział pierwszy

*Llano Crossing, Teksas, sierpień 1867*

– Był dobrym człowiekiem, panno Delio. Z pewnością cieszy się wiecznym szczęściem.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

– Niech Bóg ma panią w swojej opiece, panno Delio.

Kiedy stan zdrowia wielebnego McKinneya zaczął się pogarszać, wzgórze mieniło się świeżymi barwami wiosennych kwiatów: pierwiosnków, gajlardii, łubinu. Po letnich upałach, spalone słońcem, zbrązowiało. Wydawało się harmonizować z czarnymi ubraniami żałobników zgromadzonych u stóp wzgórza wokół dołu, do którego opuszczano trumnę.

Osiemnastoletnia Delia Keller była załamana i zrozpaczona. Uczestniczyła w pogrzebie dziadka, ukochanego opiekuna. Co ona pocnie bez jego wsparcia i pomocy? Z zadumy wyrwał ją głos kolejnej osoby składającej kondolencje.

– Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, wystar-

czy, że da pani znać mnie albo komukolwiek z mojej rodziny. Wielebny McKinney zjednoczył naszą społeczność. Nie dopuścimy do tego, by jego wnuczka cierpiała niedostatek.

Delia, która stała z pochyloną głową, uniosła wzrok.

– Dziękuję panu za te słowa, Charlesie.

Jeśli nawet spodziewała się czegoś więcej po synu burmistrza, Charlesie Ladleyu, nie dała tego po sobie poznać. Ciasny, nakrochmalony kołnierzyk pożyczonej żałobnej sukni cisnął ją w szyję.

Kilka pań odeszło od grobu i skierowało się w stronę prowizorycznych stołów ustawionych pod dębami ocieniającymi przestrzeń pomiędzy niewielkim kościółkiem a cmentarzem. Delia pomyślała, że wkrótce uczestnicy pogrzebu zasiądą do posiłku, na który złożą się szynka i pieczone kurczaki, czarno nakrapiana fasola, świeżo upieczone biszkopty, ciasto czekoladowe i kruche ciasteczka z orzechami. Będzie też lemoniada w dzbanach i mrożona herbata.

Jako najbliższa zmarłemu, Delia powinna skosztować wszystkich potraw i pochwalić zacne parafianki, które je przygotowały. Tymczasem myśl o przełknięciu najmniejszego choćby kęsa sprawiała, że zrobiło jej się niedobrze. Wydawało się jej, że wszyscy żałobnicy odeszli i stoi przy grobie sama. Nagle ktoś delikatnie ujął ją za łokieć.

– Panno Keller, dobrze się pani czuje?

To był wielebny Calhoun z Mason, który przewo-

dniczył ceremonii pogrzebowej, jako że po śmierci pastora McKinneya Llano Crossing zostało bez duchownego. Widząc zatroskane spojrzenie pastora, Delia odwróciła wzrok w obawie, że dłużej nie zdoła powstrzymać łez.

– Co ja teraz zrobię, pastorze? Moje życie polegało na opiekowaniu się dziadkiem.

– Nie ma potrzeby już dzisiaj podejmować decyzji – powiedział uspokajająco. – Spotkało panią nieszczęście, jest pani pogrążona w żałobie i musi minąć trochę czasu, zanim poczuje się pewniej. Jestem przekonany, że Bóg wskaże pani drogę.

Tego szczególnego dnia Delia nie miała cierpliwości na słuchanie zwyczajowych pocieszeń.

– Wkrótce w miasteczku pojawi się nowy pastor i zamieszka na plebanii. Gdzie się wtedy podzieję? Nie mam pracy ani pieniędzy. – Nie jestem też piękną, dodała w duchu.

– Bóg objawi pani właściwą drogę w odpowiednim czasie, panno Keller – zapewnił pastor głębkim głosem. – Pan dba o swoje owieczki. A teraz chodźmy. Widzę, że poczciwe mieszkanki Llano Crossing przygotowały dla pani smaczny posiłek. – Ruchem głowy wskazał stoły pod drzewami.

– Nie mam siły uczestniczyć w stypie – wyznała Delia, ze wzrokiem wbitym w czubki wysokich trzewików na guziczki. Nie chciała spoglądać w stronę grobu. – Wolałabym wrócić na plebanie i się położyć.

– Nonsens, moja panno. Powinna panna coś zjeść

i nabrać otuchy w towarzystwie tych, którzy kochali wielebnego McKinneya – wtrąciła zażywna, siwo-włosa żona pastora, która właśnie do nich podeszła. – Jak się panna posili, od razu poczuje się lepiej.

Delia nie zamierzała oponować. Na szczęście z pomocą przyszedł jej pastor.

– Pani Calhoun, ta dziewczyna jest blada jak wczesny pierwiosnek. Przyniesiemy jej na plebanię coś smacznego na pobudzenie apetytu po drzemce. A zatem, panno Delio, do zobaczenia później – rzekł wielebny Calhoun.

– Dobrze, panie Calhoun. W takim razie odprowadzę pannę Keller – oznajmiła ku przerażeniu Delii pani Calhoun. – Idź odmówić modlitwę, żeby ludzie mogli przystąpić do spożywania posiłku. Wróć za kilka minut.

Otoczywszy Delię ramieniem w pasie, jakby bojąc się, że dziewczyna zemdleje, pani Calhoun poprowadziła ją w stronę plebanii.

Budynek plebanii był oddalony około pięćdziesięciu jardów od kościoła. Delia pomyślała, że skoro nie było jej dane samotnie pójść do domu, zaraz po przestąpieniu progu powie, że musi się położyć i skieruje się do sypialni. Dochodząc do bramy, zobaczyły zbliżającego się od zachodu jeźdźca na koniu. Otaczała go chmura pyłu.

– Jeśli jedzie na pogrzeb, to trochę się spóźnił – zauważyła z przekąsem pani Calhoun.

– Nie sędzę. – Delia pomyślała, że wszyscy uczęszczający do kościoła w Llano Crossing byli obecni

na ceremonii pogrzebowej. Kościół był wypełniony po brzegi, Część osób stała na schodach. – To pewnie jakiś kowboj, który przybywa do miasteczka, żeby się zabawić w sobotni wieczór.

– A jutro będzie cierpiał z powodu bólu głowy i braku straconych pieniędzy.

Patrząc na zbliżającego się jeźdźca, Delia zaczęła powątpiewać w to, że przyjechał z któregoś z pobliskich rancz. Zauważyła juki, strzelbę i zwinięty koc przytroczone do siodła. Bułany koń miał mokre nogi, jakby przed chwilą przekroczył rzekę w jednym z jej najgłębszych miejsc, gdy tymczasem wystarczyło pojechać nieco dalej – miasteczko zawdzięczało swą nazwę mostowi łączącemu brzegi rzeki.

Nieznajomy zmusił konia do stępa, a podjechawszy bliżej, zatrzymał go, wydając polecenie „Hola”, po czym machinalnie przyłożył palec do szerokiego ronda kapelusza.

– Czy dobrze jadę do Llano Crossing? – spytał szorstkim, schrypniętym głosem, jakby dawno się nie odzywał.

Przyglądał się Delii zuchwale szaroniebieskimi oczami przywodzącymi na myśl oczy wilka. Zadrżała, jakby przeniknął ją zimny północny wiatr. Kątem oka zauważyła, że pani Calhoun nieznacznie skinęła głową i wyjaśniła:

– Miasteczko jest zaraz za zakrętem.

– Czy podróżny może się zatrzymać na noc w jakimś hotelu? – spytał przybysz, nie odrywając przenikliwego spojrzenia od Delii.



– Owszem, pod warunkiem, że jest człowiekiem przyzwoitym, przestrzegającym prawa – oznajmiła oficjalnym tonem pani Calhoun.

Delia zauważyła, że przez twarz nieznajomego przemknął uśmiech. Odniosła wrażenie, że miał ochotę ją o coś zapytać, jednak najwyraźniej się rozmyślił.

– Bardzo dziękuję, proszę pani – powiedział, dotykając róna kapelusza i przenosząc wzrok na panią Calhoun. – Dziękuję – powiedział, skinął głową i odjechał.

Pani Calhoun nie kryła oburzenia.

– Mógł okazać chociaż odrobinę szacunku!

– Przecież dotknął kapelusza – zauważyła zdziwiona Delia.

– Mam na myśli to, że nie uszanował żałoby, moja droga! Patrzył na ciebie jak wilk wpuszczony do zagrody pełnej owiec!

Delia była zaskoczona tym, że nieznajomy przywoził na myśl wilka również pani Calhoun. Najwyraźniej za wiele spodziewała się po mężczyznach, skoro uważała, że jeden z nich złoży im kondolencje jedynie dlatego, że obie były ubrane na czarno.

– Jakiś włóczęga, bez dwóch zdań – orzekła pani Calhoun. – Tylu ich się wszędzie kręci po wojnie.

Delia w duchu przyznała rację pastorowej, nie chciała jednak zachęcać jej do rozwijania tematu. W milczeniu dotarły do niskiego, nierównego ogrodzenia z kamieni, oddzielającego teren plebanii od drogi.

– Serdecznie dziękuję za wyświadczoną mi uprzejmość, pani Calhoun. Nie chciałabym pani dłużej trudzić – zagadnęła Delia, wchodząc na wysadzaną kwiatami ścieżkę prowadzącą do białego budynku. – Do zobaczenia.

Żona pastora uważnie przyjrzała się Delii. Najwyraźniej zrozumiała aluzję.

– Skoro panna jest pewna, że nie chce, by ktoś przy panie posiedział... – powiedziała niepewnie, lecz zaraz potem żwawym krokiem ruszyła w drogę powrotną, jakby bojąc się, że inni żalobnicy bez jej udziału zjedzą wszystko, co znajduje się na stołach. Przystanąwszy na chwilę, odwróciła się i dodała: – Pastor Calhoun i ja będziemy cicho jak myszki, kiedy tu wrócimy, żeby panie nie przeszkadzać w drzemce.

Delia była pewna, że nie zmruży oka. Cieszyła się jednak, że w końcu udało jej się uwolnić od męczącego towarzystwa pastorowej, choć nie miała wątpliwości co do tego, że pani Calhoun przyświecały jak najszlachetniejsze intencje.

Zasnęła jednak. W nocy obudziło ją donośne chrapanie pastora Calhouna, dochodzące z pokoju do niedawna zajmowanego przez dziadka. Cicho przeszła do kuchni, znajdującej się w tylnej części parterowego domu, by się przekonać, że goście dotrzymali słowa i przynieśli kolację składającą się z pieczonego kurczaka, biszkoptów i ciastek. Jadła, czekając, aż nastanie świt.

– Czuję, że nie powinniśmy tak szybko wyjeżdżać – powiedziała z troską w głosie pani Calhoun po zjedzeniu na śniadanie jajek, które tego ranka zniosły kury dziadka. Kury dziadka... Delia wciąż tak o nich myślała. – Przecież ta panna jest biedną sierotą. To nie w porządku, że zostawiamy ją samą, panie Calhoun.

– Nie jestem sierotą, pani Calhoun – sprostowała Delia. – Mój ojciec podróżuje. Jestem pewna, że la-da dzień wróci do domu. – Ile to już razy w życiu wypowiedziała te słowa? – Gdyby wiedział o chorobie dziadka, z pewnością by tu był – dodała, mając nadzieję, że brzmi to przekonująco.

Pani Calhoun, zajęta unoszeniem swego masywnego ciała z krzesła, zwróciła się w jej stronę.

– Kochanie, wiem, że ta myśl dodaje pannie otuchy, ale sąsiadka, pani Purvis, powiedziała mi, że panny ojciec nie dał znaku życia od dnia wyjazdu. Mam szczerą nadzieję, że wróci do domu, ale czy nie uważa panna, że już dawno by to zrobił, gdyby w ogóle miał taki zamiar?

– Papa na pewno przyjedzie – orzekła Delia. – Po prostu po śmierci mamy nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu, jak mawiał dziadek.

– Mógł walczyć ramię w ramię z naszymi dzielnymi chłopcami w szarych mundurach – zauważyła z przyganą w głosie pani Calhoun.

Delia nie zamierzała jej tłumaczyć, że gdyby ojciec zamierzał zostać żołnierzem, zapewne wybrałby niebieski mundur Unii. Wojna secesyjna wciąż budziła żywe emocje w tej części Ameryki.

– Tłumaczył nam, że ożenił się bardzo młodo i nie miał okazji zobaczyć świata. Obiecał, że wróci do domu, jak tylko się wzbogaci.

Była na siebie zła za to, że jej głos drżał na wspomnienie bólu, jaki czuła, gdy siedem lat temu odprowadzała wzrokiem odjeżdżającego ojca.

Pani Calhoun psyknęła gniewnie.

– „Miłość pieniędzy jest korzeniem wszelkiego zła” – oznajmiła i wzięła głęboki oddech z zamiarem rozwinięcia kwestii.

– Gdyby nie jałmużna, miłością nic bym nie zyskał – sparafrazował słowa Listu do Koryntian pastor Calhoun, wymownie patrząc na żonę. Po chwili zwrócił się do Delii. – Będę się modlił, by panny ufna wiara wkrótce została wynagrodzona.

Delia usiłowała przybrać beztroski wyraz twarzy.

– Dam sobie radę. Zapewniam państwa, że tak będzie. Jeśli będę czegoś potrzebowała, zwrócę się do państwa Purvisów. Uprzedzili mnie, że wystarczy ich poprosić.

Miała nadzieję, że pastor i jego żona wyjadą zaraz po pogrzebie i stypie. Ponieważ była to sobota, pan Calhoun czuł się w obowiązku zostać i w niedzielę odprawić nabożeństwo w kościele w Llano Crossing, pozbawionym duchownego. Nie było wiadomo, kiedy w miasteczku pojawi się nowy pastor.

Delii wydawało się niewłaściwe, że ktoś zajął miejsce dziadka na ambonie i mówił o Bogu. Pastor Calhoun był dobrym kaznodzieją i doskonale znał Biblię, brak mu było jednak dystansu i poczucia

humoru dziadka. Nie położył na ambonie kieszonkowego zegarka, jak czynił to wielebny McKinney, by wiedzieć, kiedy zakończyć kazanie. Diakon musiał kilka razy wymownie spoglądać na pastora Calhouna, by ten przerwał potok wymowy i udzielił błogosławieństwa.

Potem pani Calhoun uznała, że nie wypada podróżować w Dzień Pański, i Delia musiała wysłuchiwać niekończących się, choć z serca płynących, porad. Żona pastora uważała, że wie najlepiej, jak powinna postępować Delia.

– Pani Calhoun, jeśli zaraz wyjedziemy, zdążymy do domu na kolację – zauważył pastor Calhoun, odkładając serwetkę i wstając od stołu. – Panna Delia obiecała nam, że do nas napisze, gdyby czegoś potrzebowała, a pewnego dnia przyjedzie do Mason na dłuższą wizytę.

Delia pośpiesznie zapewniła, że tak się stanie.

– Powinnam pomóc przy zmywaniu naczyń po śniadaniu – zatroskała się pani Calhoun, zataczając pulchną dłońią krąg nad talerzami z okruszynami grzanek i żółtawymi śladami po jajkach. – To niegodne chrześcijanina zjeść i od razu wyjechać, panie Calhoun.

Pastor uniósł wzrok, jakby błagając niebiosą o cnotę cierpliwości.

– A potem powiesz, że jest już pora na obiad. Nie, pani Calhoun, natychmiast wyjeżdżamy. Panna Delia nie będzie nam miała tego za złe. Do widzenia. Dziękujemy za gościnność okazaną nam w tak trud-

nych dla pani chwilach. Będę się za pannę codziennie modlił.

– Dziękuję, pastorze – powiedziała Delia, pochylając głowę, żeby pani Calhoun nie ujrzała wyrazu ulgi na jej twarzy.

Marzyła o tym, by móc zostać sam na sam z własnymi myślami, nie musząc dbać o to, by przez cały czas być miłą i uprzejmą. Uniosła kosz, do którego wcześniej włożyła szynkę, kilka kromek chleba i masło zawinięte w mokrą ściereczkę, po czym podeszła do drzwi, nie dając pani Calhoun szansy na wymyślenie kolejnego powodu do zwłoki.

## Rozdział drugi

Wielebny Calhoun tak bardzo lubił dobrze osłodzoną herbatę, że po jego wizycie zostało bardzo niewiele cukru w porcelanowej cukierniczce, zdobionej w róże. Delia odkryła to, gdy usiadła przy stole, aby napić się kawy.

Na szczęście kury znosiły jajka, które zamierzała sprzedać w jednym z największych sklepów. Za część uzyskanych od pana Deana pieniędzy postanowiła kupić cukier. Resztę odłoży na później. Cóż jednak pocznie, gdy pewnego dnia będzie jej potrzebna znaczna kwota? Jeżeli, na przykład, zepsuje się wiatrak i będzie musiała go naprawić? Myślała o tym, ponieważ przypuszczała, że minie sporo czasu, zanim w miasteczku pojawi się nowy pastor. Kiedy znajdzie się odpowiedni kandydat, Delia będzie musiała opuścić plebanię i wynająć pokój.

Dziadek nie przywiązywał wagi do dóbr doczesnych. Ufając, że Bóg zaspokoi jego potrzeby, często oddawał skromne uposażenie pastora nieszczęsnemu włóczędze, który zjawiał się u jego drzwi. Bóg stawał na wysokości zadania, często objawiając się

w postaci parafianina, przynoszącego na plebanię pół tuszy wołowej albo koszyk brzoskwiń. Delia nie mogła jednak liczyć na podobne dary po tym, jak Pan powołał jej dziadka do swojego królestwa.

Opatrzność pomaga tym, którzy pomagają sami sobie, przemknęło jej przez myśl. Póki może mieszkać w miasteczku, powinna się zająć poszukiwaniem pracy, by z czasem móc opłacić pokój w pensjonacie pani Mannheim. Być może pan Dean będzie potrzebował pracownika do magazynu albo pani Jackson gotowa będzie przyjąć pomocnicę kuchacza w hotelu. W najgorszym razie Delia zaproponuje pani Mannheim, że będzie gotowała i sprzątała w pensjonacie w zamian za dach nad głową. Słyszała jednak, że niemiecka wdowa jest wymagająca i pedantyczna i wszystko woli robić sama. Delia mogła też napisać do wielbnego Calhouna i poprosić o zorientowanie się, jakie są szanse na otrzymanie pracy w Mason. Pastor zapewniał ją, że gotów jest pomóc w razie potrzeby.

W głębi serca miała jednak nadzieję, że nie będzie zmuszona do wyjazdu z Llano Crossing, gdzie mieszkała od ukończenia jedenastego roku życia, kiedy ojciec przywiózł ją tutaj po śmierci matki Delii.

Spojrzała na własne odbicie w pękniętym lustrze wiszącym w jej pokoju, aby upewnić się, czy równo związała wstążki przy czarnym kapeluszu oraz czy żaden kosmyk nie wymknął się z ciasno upiętego koka. W zestawieniu z czernią stroju twarz wydawała się bardzo blada. Pomyślała, że spacer do miasta



powinien zaróżowić jej policzki. Wzięła do ręki koszyk z jajkami i wyszła z domu.

Pograżona w rozmyślaniach, ze wzrokiem wbitym w ścieżkę, omal nie uderzyła zardzewiałą furtką konia stojącego w cieniu przydrożnego dębu.

– Och! Nie wiedziałam, że ktoś tu jest! – wykrzyknęła, cofając się o krok.

Miała przed sobą nieznanego, który przed kilkoma dniami pytał o drogę do miasteczka. Podobnie jak wtedy, dotknął palcami runda kapelusza.

– Zamyśliła się pani. Nie chciałem pani przestraszyć.

– Nie przestraszyłam się – skłamała.

Zauważyła, że nieznanomy zmienił się od poprzedniego spotkania. Prawdę mówiąc, gdyby nie dosiadał bułanego konia, być może w ogóle by go nie poznała. Najwyraźniej wykapał się, ogolił, oddał ubranie do prania, a może nawet kupił nowe.

Delia uznała z zakłopotaniem, że jej spojrzenie mężczyzna może ocenić jako natarczywe.

– W czym mogę panu pomóc?

Była przyzwyczajona do licznych odwiedzin na plebanii. Wiele osób przychodziło do jej dziadka w poszukiwaniu jałmużny lub porady duchowej. Nie chciała jednak mówić nieznanemu o wilczych oczach, że została sama. – Niestety, pastor nie może pana...

– Wiem. Czy rozmawiam z panną Delią Keller?

Skinęła głową, przestraszona. Skąd zna jej imię? Czego chce?

– Po przyjeździe do miasta dowiedziałem się o śmierci pani dziadka – powiedział obcy. – Domyślam się, że kiedy się spotkaliśmy, wracała pani z pogrzebu. Gdybym wiedział, kim pani jest, panno Keller, nie odjechałbym, a zatrzymał się, żeby z panią porozmawiać.

– A pan kim jest?

Przybysz zeskoczył z konia i upuścił wodze na ziemię. Bułany koń był najwyraźniej do tego przyzwyczajony; zwiesił łeb i zajął się jedzeniem trawy bujnie rosnącej w cieniu płotu.

Gdy mężczyzna stanął naprzeciw niej, Delia zorientowała się, że jest wysoki. Znacznie wyższy niż jej dziadek, który na starość trochę się przygarbił. Zapewne górowałby też wzrostem nad jej ojcem, którego nie widziała od czasu, gdy głową sięgała mu do łokcia. Tajemniczy gość musiałby pochylić się w progu, by wejść do domu... Oczywiście nie zamierzała go tam zapraszać.

Zdawał się wyczuwać jej niepokój. Nie ruszając się z miejsca, zdjął szerokoskrzydły kapelusz, spod którego ukazały się ciemne włosy.

– Panno Keller, nazywam się Tucker, Jude Tucker, a przyjechałem tu dlatego, że poprosił mnie o to pani ojciec.

Nie wierzyła własnym uszom. Przepelniona ogromną radością, ruszyła w stronę nieznanomego, choć zaledwie przed chwilą bezwiednie się przed nim cofnęła.

– Zna pan mojego ojca? Czy ojciec przyjedzie? Kiedy tu zawita? Dlaczego nie przyjechał z panem?

– Uradowana Delia zasypała go pytaniami. – Och, wiedziałam, że któregoś dnia powróci!

Tucker spochmurniał i wysunął rękę w stronę Delii, by powstrzymać potok jej wymowy.

– Pani ojciec... nie przyjedzie, panno Keller. Przepraszam, powinienem od razu to powiedzieć. Przykro mi, ale to właśnie mnie przypadł obowiązek poinformowania pani o śmierci ojca.

Delia miała wrażenie, że ziemia wiruje pod jej stopami. Byłaby upadła, gdyby nieznajomy w porę jej nie podtrzymał.

– Spokojnie – szepnął Jude Tucker, delikatnie ściskając jej ramię. – Jest pani blada jak kreda, panno Keller. Proponuję, żebyśmy usiedli w fotelach na ganku. To zrozumiałe, że jest pani zszokowana. Sądzę, że po chwili zastanowienia będzie pani chciała wysłuchać reszty.

Nie przypominała sobie, by udzieliła mu na to pozwolenia, lecz trzymając ją za łokieć, poprowadził ją po trzech schodkach na ganek i posadził w bujanym fotelu, w którym dziadek uwielbiał przesiedywać wieczorami. Potem patrzył, jak Delia rozwiązuje wstążki, zdejmując czarny kapelusz i kładzie go na dzielącym ich stoliku.

– Czy jest tu pompa? Może napiłaby się pani wody? – zapytał Tucker.

Jego głos dobiegł do Delii jakby z oddali; musiała się skupić, by zrozumieć znaczenie słów.

– Pompa? Woda? Nie... To znaczy, tak, jest pompa, ale nie chcę...

Przypomniawszy sobie, że dziadek, który stanowiął dla niej niedościgły wzór, zawsze miał na względzie przede wszystkim dobro innych, dodała:

– Proszę się napić, jeśli jest pan spragniony. Na pompie wisi kubek.

Sprawiał wrażenie mile zaskoczonego.

– To niezwykle szlachetne z pani strony, że nawet w takich okolicznościach pomyślała pani o mnie. Owszem, chętnie się napiję, ale najpierw chciałbym wyjaśnić, dlaczego pani ojciec mnie tu przysłał.

– Czy coś mu się stało? – spytała, wpatrując się pośłańca.

Jude Tucker popatrzył na kapelusz trzymany w długich, smągłych palcach.

– Zginął w wypadku górniczym w kopalni srebra w Nevadzie, panno Keller.

Gdy milczała, najwyraźniej czekając na dalszy ciąg, przyjrzał się jej uważnie, po czym kontynuował:

– Jak zapewne pani wie, odkryto tam srebro w tyśiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku, na długo przed pojawieniem się tam pani ojca, jednak to właśnie on odkrył w pobliżu nową żyłę. Pomagałem mu przy wydobywaniu. Dopisało mu szczęście... Nikt nie miał takiego od czasu Comstock Lode. Powtarzał, że zamierza wrócić do Teksasu, ale zanim się na to zdecydował, zdarzył się wypadek. Pojechałem wtedy do miasta po zapasy, a pani ojciec został

przygnieciony wielkimi belkami. Leżał tak kilka godzin...

Tucker urwał, zastanawiając się, jak ma sformułować dalszą wypowiedź. Przeniósł wzrok na drogę, lecz Delia była pewna, że nie widział niczego, dręczony wspomnieniami.

– Kiedy wróciłem, był w ciężkim stanie. Udało mi się odciągnąć belki. Zamierzałem zawieźć go do doktora, jednak nie chciał o tym słyszeć. Wiedział, że umiera. Chirurdzy już by mu nie pomogli. Zresztą, nie przeżyłby jazdy. Poprosił mnie, żebym go nie ruszał. Chciał wykorzystać ostatnie chwile życia na powiedzenie mi, gdzie będę mógł panią znaleźć, panno Keller. Zmarł kilka minut potem.

Delię ogarnął niewymowny żal. Gdyby jej ojciec nie był tak niespokojnym duchem, nie uparł się za wszelką cenę szukać bogactwa i szczęścia, żyłby do dzisiaj, a ona nie musiałaby dorastać bez niego. Pani Calhoun miała świętą rację, cytując ten akurat werset z Biblii. Umiłowanie pieniędzy z pewnością było przyczyną nieszczęścia Willa Kellera.

– A więc to tak... – Przypomniała sobie o obecności gościa. – Panie Tucker, postąpił pan bardzo szlachetnie, przyjeżdżając z tak daleka, aby powiadomić mnie o śmierci ojca. Niestety, nie mam jak się panu odwdzięczyć za pański trud.

W oczach Tuckera pojawił się dziwny błysk.

– Nie ma o czym mówić. Poza tym nie przyjechałem tutaj tylko dlatego, żeby poinformować pa-

nią o śmierci ojca. Jest pani teraz jego jedynym dzie-  
dzcim.

– Dziedzicem? – Miała wrażenie, że Tucker mó-  
wi w obcym języku.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Cóż, przyznaję, że odpowiedniejszym słowem  
jest „dziedziczka”. Mam dokument z banku w Car-  
son City, pozwalający pani na dokonanie przelewu  
pieniędzy na swoje konto w tutejszym banku.

– Dokument? O czym pan mówi?

– Pani ojciec zdążył wydobyć spore ilości srebra,  
zanim ktokolwiek oprócz mnie dowiedział się, że  
Will Keller trafił na tak wielką żyłę. Sprzedał srebro  
i złożył pieniądze w banku. Zmarł jako bogaty czło-  
wiek, a teraz cały jego majątek należy do pani.

Jude obawiał się, że tym razem panna Keller ze-  
mdleje. Obserwował ją uważnie, gotów w każdej  
chwili przyjść z pomocą. Gęste ciemne brwi Delii  
unosły się, zbladła jeszcze bardziej, co wydawało  
się niemożliwe, a jednak zachowała wyprostowaną  
pozycję w fotelu.

Westchnęła.

– Mój ojciec bogaty? I zostawił wszystko mnie?

Niedowierzanie, że istotnie jest jedyną spadko-  
bierczynią, zaskoczyło Tuckera.

– Była pani jego jedynym dzieckiem, panno Kel-  
ler. Komu jak nie pani miałby zostawić majątek?

– N-nie wiem – wyjąkała, oszołomiona. – Wyje-  
chał stąd tak dawno temu... Sądziłam, że ponownie  
się ożenił, a może nawet ma dzieci.